Ku radości ŻYCIA



4

PRISCILLA LANE Warner Bros

MARTA ROGOWSKA

NA KRÓTKICH FALACH



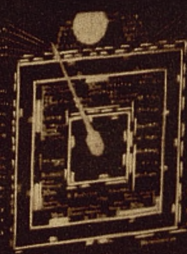
Na krótkich falach, o tym wiesz —
Usłyszeć można cały świat,
Lecz gdy mieć dobry odbiór chcesz,
Posłuchaj kilku moich rad!

— Naucz się przede wszystkim zatem
Obchodzić z własnym aparatem.
Powoli suń wskazówkę skali,
By nie przeskoczyć żadnej fali.
(Gdy nie chcesz minąć jakiej stacji
Uwaga ta jest nie bez racji!)
By szybko zdążyć więc do celu,
„Festina lente"*) — przyjacielu!

Gdy rady me coś dla Cię znaczą
Na zegar zwróć uwagę baczną
Wszystkie najkrótsze zatem fale
Rano usłyszysz doskonale.
Gdy słońce w środku stanie nieba
Wówczas fal innych słuchać trzeba:
Metrów szesnaście, dziewiętnaście...
(Fal dłuższych — słuchaj później znacznie).
Fal od trzydziestu metrów wyżej,
Posłuchaj, gdy się słońce zniży.
Od pięćdziesięciu metrów znowu,
Jeśli chcesz wierzyć memu słowu,
Słuchaj już po zachodzie słońca!
(Rady me dobiegają końca).

— Wreszcie, gdy przyjdzie noc bezsenna...
Rozrywka czeka Cię przyjemna!
Siedząc przed swoim aparatem,
Masz wtedy łączność z całym światem,
Zbliżasz do siebie obce kraje,
Poznajesz pieśni, obyczaje...
Tam jazz-band gra, stąd płynie śpiew,
Wabi Cię krain dalekich zew,
Słyszysz hawajskich palm poszumy
I w świat zatapiasz się zadumy...
I widzisz kraj kwitnących wiśni,
Ku niemu tęskne ślesz swe myśli...
I tak, jak w dzieciństwa Twego dniach,
Pogrążasz się w cudnej bajki snach.
Baśń ta, co wokół biegnie ziemi,
Baśń bez czasu i bez przestrzeni,
Czarem swym każdą ujarzmi dal...
— Wiesz, co za baśń to?
— Baśń krótkich fal!


H. Białkowska.





*) Śpiesz się powoli.



W uchylonych drzwiach ukazała się rozczochrana głowa sarniookiej senority, pokojówki pensjonatu, w którym mieszkałem.

— „Czy można"? — spytała. „Jest telegram do pana", dodała z czarującym uśmiechem.

Z całego telegramu zrozumiałem niestety tylko jedno słowo. Był nim podpis mojej siostry. Niezwykłej domyślności właścicielki pensjonatu, przyzwyczajonej widocznie do różnych językowych łamańców, zawdzięczam, że po wielu wysiłkach i odpowiedniej gestykulacji obu stron, pojęto wreszcie, o co mi chodzi. Zaprowadzono mnie do jednego z współlokatorów, Niemca, który mi przetłumaczył treść telegramu.

Mam wsiąść w Buenos-Aires do ekspresu transandyjskiego i wysiąść na stacji Maimará, znajdującej się przy granicy Argentyny i Boliwii. Sympatyczny sąsiad, dowiedziawszy się, że dopiero od dwóch dni mieszkam w tym gościnnym kraju, uważał za swój obowiązek udzielić mi szeregu informacyj, które jego zdaniem mogłyby mi się przydać w czekającej mnie wyprawie. Na zakończenie spojrzał do rozkładu jazdy i przestrzegając tradycyjnej niemieckiej dokładności, rzekł: „Do Maimará ma pan 1512 km. Pociąg odchodzi za pół godziny." Widząc zaś moją niewyraźną minę, dodał: „Może pana odwieźć na dworzec?" — Zgodziłem się z wdzięcznością i niebawem wsiadałem do słynnego na całym południowo-amerykańskim kontynencie ze swej szybkości pociągu, który mnie miał zawieźć hen w niebotyczne Kordyliery.

Zbliżał się wieczór. Kilkanaście minut półmroku i od razu zapada tak charakterystyczna dla tej strefy ciemna noc. Położyłem się spać, kołysany do snu rytmicznym stukiem kół. Rano zerwałem się na równe nogi, aby podziwiać krajobraz. Spotkało mnie jednak rozczarowanie. Step, pastwiska, pola uprawne i znów step. Santa Fé, Santiago del Estero, Tucumán. Nareszcie coś ciekawego. Olbrzymie przestrzenie pokryte plantacjami trzciny cukrowej i wszędzie wstrętny czerwonego koloru kurz.

I znów wieczór i tropikalna noc, która spada na ziemię nagle, jak czarna płachta.

Zbudziło mnie dotkliwe zimno, mimo, że okna były zamknięte i byłem przykryty ciepłym kocem. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza w nocy. Według informacyj, otrzymanych od sąsiada w pensjonacie powinienem być za godzinę na miejscu. Zastanawiałem się przez chwilę, w jaki sposób znajdę o tej porze mieszkanie mojej rodziny, uprzytomniłem jednak sobie, że Maimará to osada górska, licząca kilka lub najwyżej kilkanaście domków. Obejdę je wszystkie po kolei, aż natrafię na właściwy. Myśl ta uspokoiła mnie.

Opuściłem szybę i wyjrzałem oknem. Pociąg gnany parą dwóch potężnych lokomotyw made in U.S.A. walił z zawrotną szybkością serpentynami, mijając co chwila czarne gardziele tuneli i przepaściste czeluście wąwozów. Skąpe i karłowate zalesienie oświetlone słabo blaskiem księżyca wskazywało na to, że znajdujemy się już na znacznej wysokości.



W pewnej chwili mignął mi przed oczyma budynek jakiejś małej, przez Boga i ludzi zapomnianej stacyjki, wywołując w mym umyśle błyskawiczną refleksję: Czy w takim gnieździe jak Maimará ekspres zatrzymuje się? — Szybkim ruchem otworzyłem walizę, dobywając słownika.

— Stalaktyt, stałość, stamtąd, stan — jest: stanąć — parar!

Biegiem puściłem się wzdłuż pustych korytarzy chyboczącego się pociągu w poszukiwaniu konduktora. Znalazłem go w pierwszym wagonie.

— Maimará para? — zawołałem, szarpiąc go za ramię.

— No senor, no para, — odrzekł kiwając się sennie.

Rozpacz mnie ogarnęła. Zbliża się granica boliwijska, nie znam języka, mam mało pieniędzy. — Co tu robić?—

Nagle genialna myśl zaświtała w mej głowie. Wyrwałem z kieszeni banknot 10-pesowy (około 17 złotych) i trzymając go przed nosem konduktora, zawołałem raz jeszcze — Maimará para?! —

Si senor! — krzyknął, zgrabnym ruchem chowając pieniądze do kieszeni.

— Pronto! Pronto! (szybko, szybko) zawołał jeszcze, biegnąc w kierunku lokomotywy. Był już najwyższy czas. Raz, dwa dowlokłem moje walizki do drzwi wagonu, gdy odezwał się przeciągły jęk hamulców.

Chwilę później stałem na stacji przed małym blaszanym budynkiem z napisem: MAIMARA. Wokoło nie było żywego ducha. Panowała grobowa cisza, słychać było tylko oddalający się szybko, rytmiczny stukot kół. W oddali ginął w mrokach nocy ekspres transandyjski.

Kornel Makuszyński

Szarańcza

Przy ulicy Bardzo Krzywej, na czwartym piętrze, w trzecim podwórzu, obok wejścia na strych, mieszkali trzej dżentelmeni. Mógłbym powiedzieć: trzej muszkieterowie, ale pan Dumas się pomylił, muszkieterów bowiem było naprawdę czterech: Atos, Portos, Aramis i d'Artagnan. Dżentelmenów zaś było tylko trzech, jak o tym świadczy oczywistość i protokóły policyjne, dość częste i obfite jak na tę spokojną dzielnicę. Dozorca ogromnego domu przy ulicy Bardzo Krzywej, nie znający angielskiego języka, mocno natomiast zaprawiony w soczystości rodzimego języka, tłumaczył to słowo na „łapserdak", najmniejszej uwagi nie zwracając na rażącą niezgodność tych odległych pojęć. Człowiek ten, posiadający zresztą głowę przemyślną i chytrą, nie mógł z największym nawet wysiłkiem rozwikłać splątanego zagadnienia, nad którym i biegły biedziłby się matematyk: w jaki sposób trzech ludzi może używać tylko dwóch par spodni, jedna bowiem, przypominająca misterną sieć pajęczą, była nie do użycia. (Niechętnie, obrażając wrodzoną nam wytworność, nazywamy rzeczy po imieniu, pragnąc przez tę zażywną prostotę zabarwić rumieńcem brutalną tę opowieść). Rozwiązanie było niewypowiedzianie łatwe: jeden z trzech siedział zawsze w domu. Tym trzecim, najczęściej skazywanym na siedzącą pokutę, był literat, poeta, essaista, felietonista, krytyk i powieściopisarz w jednej, dość mizernej osobie. Połączenie w jednym ręku tylu godności, w nikim jednakże nie budziło zawiści, każda bowiem godność ta z osobna i wszystkie razem nie warte były funta kłaków, wiadomo zaś, że ten produkt rolniczego kraju jest powszechnie lekceważony i używa go się jedynie jako miary w ocenie literackiej lub malarskiej twórczości przyjaciela. Ponieważ zawód pisarski wymagał kontemplacji, ciszy i tajemnej rozmowy z duszą, towarzysze wieszcza uznali dwugłośnie, że do celów tak górnych i wzniosłych, nie jest potrzebna część odzienia z najniższych okolic człowieczeństwa. Zabierał przeto jego przyodziewek serdeczny przyjaciel — malarz, indywiduum wobec powagi życia tak zuchwałe, że nawet ja, którym opisał niepoliczoną czeredę ludzi kosmatych i zgoła plugawych, cofałem się w trwodze przed tym, obrażającym świat zjawiskiem. W człowieku tym (w jaskrawej przesadzie tego słowa mieści się jedynie jaki taki ludzki kształt, lecz nic więcej!) przedziwne grały uczucia: na widok napojów gorących robiło mu się ze wzruszenia zimno, co można było poznać po nagłych drgawkach. Na chrzcie świętym dano mu imię Kajetan, co niebieski jego patron przyjąć musiał z abominacją, zakrywszy ręką świętą twarz.

Drugim z podejrzanej tej kompanii był młodzian — też malarz — imieniem Szczęsny. Nadobne to imię, używane z lubością przez poetów, którzy nim stroili bajronicznych bohaterów, tak się nadawało do tej zielczałej i jakoby zawsze smutnej twarzy, jak orchidea do baraniego kożucha. Trzeci



był poetą i zwał się Adam, przeciwko czemu wieszcz nie mógł zaprotestować, żadnej jednak nie ulega wątpliwości, że srodze nad tym cierpiał.

Kompania ta zażywała najgorszej sławy pośród ludzi szanowanych i płacących podatki. I czyż można się dziwić? Ogromne pudło domu przy ulicy Bardzo Krzywej za sprawą trzech obwiesiów pełne było: niepokojów, awantur, wrzawy, śpiewów, poryków, swawoli i najgorszych obyczajów. Pomijamy tak nieznaczne wybryki, jak wystawy obrazów na schodach, choć powszechnie i na całej ulicy znany był wypadek, kiedy to pewna stateczna dama, szczęśliwa wdowa po trzech nieszczęśliwych mężach, zemdlała i osunęła się na schody „jak kwiat podcięty kosą", ujrzawszy znagła obraz, wyobrażający małżonkę Putyfara, kuszącą w sposób obcesowy i pozbawiony dobrego smaku smutnego niedorajdę — Józefa Egipskiego. Zawstydzonym milczeniem pomijamy dziwaczny obyczaj tych dzikich ludzi chodzenia nago aż do pierwszych przymrozków. Wielki dom doprowadzały jednakże do rozpaczy tajemne ich związki z dwudziestoma siedmioma kucharkami. Obwiesie wynajmowały się do trzepania dywanów, noszenia węgli, z czeluści piwnicy, a bielizny do owego przyrządu, którego płeć do tej chwili nie została ustalona, niewiadomo bowiem czy przyrząd ten zwie się „ten" czy „ta" magiel. A nauka milczy... Obwiesie spełniali ciężkie te trudy za dostarczanie im w pokaźnej ilości: cukru, kawy, herbaty, bułek i masła. Nie to jednakże było powodem, że stali się trzykrotną zakałą domu, jego liszajem, wrzodem, rozpaczą i klęską. Ścigała ich klątwa, skoro się okazało, że dla doraźnych, a zawsze jadalnych korzyści, obiecali „ewentualne" małżeństwo najmniej trzem osobom płci damskiej i kuchennej z każdego piętra, a pięter było cztery. Poeta, pan słowa, szatan i czarnoksiężnik, znający najbardziej wyszukane przysięgi i magiczne zaklęcia, zdołał otumanić wyborną kucharkę, która nie dała dotąd wiary kilku narzeczonym z trzydniowym wypowiedzeniem. Skołowaciała biedactwo i jęczała przez sen. Opętana przez straszliwą moc poezji, w siedem tęcz spowita, byłaby na każde lube żądanie skoczyła z czwartego piętra uniesienia w przepaść, w nicość i zapomnienie. Czyż można się dziwić, że nie pożałowała poecie nigdy szczypty herbaty lub cukru?

Tłuste te i opasłe wieści, krążące tam i z powrotem przez ulicę, pochodzą z czasów przed słynnym skandalem, który wybuchnął jak petarda, skoro się stało wiadomym, że ci oczajdusze oszukują najczulsze w przyrodzie osierdzia; gdy pośród wzdychań głębokich, które flotę Kolumba mogły by przepchnąć przez Atlantyk, zwierzyła się jedna baba drugiej babie. Zaskwierczały miłością wzdęte serca na patelni rozpaczy. Nastał tak zwany „sądny dzień". Panny służebne i ufne wyrywały sobie włosy z boleści i z głowy. Na przewrotnych obwiesiów padł strach blado-zielony, z lekkim żółtym odcieniem. Przyszedł na nich głód i przyszła sprawiedliwa nędza. Goniły zą nimi klątwy, styli-

stycznie zwarte, przeto mocne, a każda była jak nagłe uderzenie wałkiem od ciasta. Ścigały ich słowa tak ociekające świeżą posoką, jak polędwica. Jedynym artykułem spożywczym, zdobytym w owym czasie, był nadgniły kiszony ogórek, którym jedna Dulcynea cisnęła za przemykającym się poetą. Ogórek był, oczywiście, symbolem: ona chciała rzucić sercem.

Taka była sytuacja z początkiem grudnia przy ulicy Bardzo Krzywej. Nie mogła ona jednakże wpłynąć na



odwieczny bieg zdarzeń i na krętactwo kuli ziemskiej — po tej stronie, po której biegła ulica Bardzo Krzywa. Trzy łajdackie pisklęta, kulące się i drżące na zimnie, poznały z wielu znaków, że zbliża się Boże Narodzenie. Spadł nowy, czysty śnieg i zasłał ziemię jak białym obrusem. Jak ów las Birnam z „Makbeta", co przywędrował pod zamek Dunsynanu, przywędrował do miasta las jodłowy.

— Herod mordował niewinne dzieci, a ludzie mordują niewinne drzewka — rzekł ponuro poeta, spoglądając przez okno.

— I indyki i zające i ryby — mruknął nieszczęsny Szczęsny. — W naturze ludzkiej tkwi żądza mordu. Nas też zamordowano...

— Tak! Los... — rzekł ponuro Kajetan.

Trzy ofiary losu patrzyły zastygłym wzrokiem na nieczułe ściany, splugawione obrazami domowego wyrobu. Czasem któryś westchnął ciężko, wypuszczając z ust, jak przez wentyl kotła, zamęt pary, w legowisku bowiem było zimno, jak w odczytowej sali.

— Jutro wilia... — rzekł po chwili zciszonym głosem poeta.

— Podobno... — odrzekł malarz pierwszy.

— Tak powiadają... — dodał malarz drugi.

— Czy to może być prawdą, że są tacy, co jutro będą jedli ryby i barszcz i pierogi z kapustą?

— Czytałem w gazecie, że są tacy. O pierogach nie pisali, więc nie jestem pewny. Co to takiego? Czy twoje serce tak stuka?

— Nie — odrzekł poeta. — Moje serce zamarzło... Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ktoś puka do drzwi. Któż to może pukać?

— Chyba śmierć... Albo też stróż, co byłoby gorsze od śmierci. Nie otwieraj!

— Tu nie ma nikogo! — zawył Szczęsny. — Słyszysz? Nie dowierza słowu uczciwego człowieka... To chyba stróż, niewierny poganin. Uderza zapewne głową, bo odgłos jest drewniany. Kto tam?

— List! — odrzekł głos cienki i niezbyt groźny.

— List? Znamy się na tych kawałach. Słuchajcie, dzieci — zaczął mówić szybkim szeptem. — To może być podstęp! Głos jest chłopięcy, ale chłopak może być podstawiony, a za nim czai się stróż. Otwierać, czy nie otwierać?

— Nie otwierać, za żadne skarby! Poeta krzyknął w stronę drzwi.

— Jeżeli to prawda, proszę wsunąć list pod drzwi!

— Kiedy ma być odpowiedź!

— A od kogo ten list?

— Od pani Kociakowej!

— Ejże! Od pani Kociakowej? To ciotka mojej ciotki, czy coś w tym rodzaju... — mówił szybko Kajetan. — Chłopcze, jeżeli łżesz, to cię nieszczęście spotka... Słuchajcie, ja otworzę, a wy stójcie w pogotowiu, aby odeprzeć zasadzkę, jeśli to zasadzka.

Stanęli przy drzwiach jak trzy tygrysy, przygotowane do skoku. Otworzyli drzwi tak nagle, że stojący za nimi niedorostek przeraził się i chwiał się przez chwilę na piętach, aby podać tyły. Wciągnęli go do pieczary i zamknęli drzwi starannie.



Młodzieniec, piegowaty i z zadartym zuchwale nosem, spoglądał na nich z lękiem, więc poeta rzekł mu łagodnie:

— Niech się kawaler nie boi, ale u nas taki zwyczaj, bo źli ludzie dybią na nas. To ciebie, młody człowieku, przysyła dobra pani Kociakowa?

Ponieważ młodzieniec nie mógł temu zaprzeczyć, więc malarz począł czytać list, zmarszczywszy pięknie sklepione czoło. Oczy mu pojaśniały i rzekł czule:

— Powiedz, młody bohaterze, pani Kociakowej, że się stawię. Nie odpisuję, bo atrament zamarzł, ale racz jej łaskawie zanieść moje słowa. Bardzo to pięknie, żeś przyniósł ten list. Za pozwoleniem, na co jeszcze czekasz? Aha! Rozumiem... Otóż zrozum i ty, piegowata odo do młodości, że złotem nie nagradzamy nigdy ludzi, aby nie urazić ich godności. Niech ci wystarczy dobre słowo, wygrzebane w najcieplejszym zakątku serca. Bądź zdrów, a na schodach uważaj, bo ciemno.

Piegowaty chłopczyna otworzył szeroko usta, co u ludów dzikich oznacza wielkie zdumienie i najgłębiej przekonany, że go posłano z listem do wariatów, wycofał się z niebezpiecznego terenu.

— Bardzo ciepło przemówiłeś do tego pocztowego gołębia — rzekł z uznaniem poeta. — A czy wolno wiedzieć, co złotymi literami pisze do ciebie pani... pani...

— Kociakowa, żona pana Kociaka, który przypomina nosorożca. Mówcie o niej z szacunkiem, jest to bowiem kobieta wielkiego serca. Posłuchajcie, bracia Polacy, co pisze ta urocza dama... Otóż ich jest troje: mąż, żona i córka. Nawiasem powiedziawszy, wcale ładna dziewczyna, tylko ma tę właściwość, że wciąż płacze. I z radości i ze smutku, płacze pod każdym pozorem i z każdego powodu, czego nauka nie może pojąć. Gdyby w Saskim Ogrodzie ukradli fontannę, można by ją postawić na tym miejscu i przez długi czas niktby nie zauważył zmiany.

— Przestań, bo i ja się rozpłaczę! — krzyknął malarz drugi. — Ale co z listem?

— Ten list jest promieniem i wesołą nowiną. Ponieważ Kociaków są trzy sztuki, przeto pani Kociakowa lęka się słusznie, że jeśli przy wigilijnym stole zasiądzie nieparzysta ilość osób, w rodzinie zdarzy się nieszczęście. Ja też w to wierzę głęboko... Żeby przeto ocalić gatunek przed zagładą, ciotka ciotki mojej ciotki prosi mnie z naciskiem, abym zechciał zaszczycić swoją osobą ich wilię. Myślę, że okrzyk na cześć tej uroczej damy nie będzie pustym dźwiękiem... Czemu patrzycie na mnie, jak na diabła?

Przyjaciele oblepili go czarną smołą spojrzenia.

— I ty tam pójdziesz? — zapytał poeta głosem tak zimnym, że każde słowo zamieniło się w lodowy sopel.

— Oczywiście! Czemuż nie miałbym pójść?

— A czy ty wiesz, marna kreaturo, że udławisz się pierwszą rybią ością? Więc my dwaj będziemy tutaj szczękali zębami, a ty...

— A któż tobie powiedział, śnięty sandaczu, że ja pójdę sam? — krzyknął Kajetan. — O, ludzie małego i nikczemnego ducha!

Usiedli rzędem na łóżku, jak trzy jaskółeczki na telegraficznym drucie i słuchali pilnie, co im tajemniczym szeptem wykłada dobry towarzysz.

(Dokończenie na str. 10)



FRONTEM DO PAMIĘTNIKÓW



W pewnej gazecie wyczytałem kiedyś zdanie, „że istnieją bezużyteczni ludzie, spędzający bezczynnie czas na studiowaniu pamiętników historycznych.

Nie warto oczywiście dyskutować nad tego rodzaju powiedzeniem. Można stwierdzić jedynie, że ten, który je popełnił, najprawdopodobniej sam nigdy nie zajrzał do żadnego z pamiętników historycznych.

A szkoda! mógłby się wiele nauczyć.

Oczywiście powieść w kiosku dworcowym, albo w wózku ulicznym ma znacznie ponętniejszy wygląd i bardziej frapujący tytuł, aniżeli pamiętniki, odstraszające swym, najczęściej wielotomowym szeregiem i skromnym tytułem — pamiętnik... Mimo to jednak jest to lektura stanowczo godna polecenia. Każdy znajdzie w niej to, co go interesuje, każdy może się szczerze ubawić, a że przy tym mimo woli nauczy się czegoś, — to nieszczęście nie będzie aż tak znów wielkie, aby w czambuł dyskredytować wszystkie pamiętniki historyczne.

Widzę już, jak niejeden z czytelników, w tak gorący sposób zachęcony, rozgląda się niepewnie po szafach pełnych książek, nieśmiało wyciąga rękę, waha się jeszcze, wreszcie z determinacją wyjmuje na chybił trafił zakurzone tomisko, otwiera i...

Henrieta Angielska [1]) takie od swej opiekunki otrzymywała nauki:

Pani z towarzystwa, wysokiego rodu odmawia rano modlitwę, po czym umoczywszy palce w wodzie, przeciera niemi oczy, aby spędzić z powiek resztki snu, ubiera się i poprawia lekko włosy. Należy to czynić delikatnie, aby nie poruszyć znajdujących się we włosach insektów. Zębów oczywiście myć nie potrzeba — to robią tylko kobiety lekkich obyczajów.

W towarzystwie należy zachowywać się przystojnie. W czasie uczty posługiwać się można jedynie łyżką; mięsa i jarzyny je się palcami. Widelca i noża używają tylko kobiety lekkich obyczajów. Nosa nie można oczywiście wydmuchiwać na sąsiadów, lecz potrzeba się schylić, przykryć głowę serwetą, po czym wytrzeć nos w palce, lub serwetę. Jeżeli w czasie uczty pani zauważy insekta na kołnierzu, lub żabocie sąsiada, nie może czekać aż owad spadnie do talerza, lecz winna zwrócić sąsiadowi uwagę, lub zdjąć natrętne stworzenie i zabić. (Kilkadziesiąt lat później istniały do tego celu specjalne młoteczki i kowadełka). Odgłosy, wynikające z normalnego lub wadliwego trawienia, potrzeba o ile możności powstrzymywać. W wypadkach jednak, kiedy to mogło być niezdrowe, należy tuszować je kaszlem, lub chrząknięciem.

Czytelnikowi staje się jasne, dlaczego w owych czasach wszystko co lepsze i kulturalniejsze, chętniej, aniżeli w salonach, przebywało u słynnej kurtyzany paryskiej, Ninon de Lenclos, albo u jej pięknej, chociaż mniej szczodrze szafującej wdziękami, przyjaciółki, pani Scarron, późniejszej markizy de Maintenon, żony Ludwika XIV. Te przecież myły się i kąpały, czyściły zęby, nie przypudrowywały brudu i używały widelca i noża.

Z większym już zainteresowaniem zagłębia się czytelnik w lekturze pamiętnika. Szczery śmiech wzbudza w nim figiel o zupełnie sztubackim zacięciu, który spłatano szefowi protokółu, baronowi de Breteuil.

Baron należał do nieśmiertelnego typu ludzi, którzy nawet mało wiedząc, wiedzą wszystko najlepiej. Rozmowa z takimi ludźmi nie należy bynajmniej do przyjemności, gdyż chcą mieć zawsze rację i nie pozwalają dojść do słowa. Przekonała się o tym ministrowa de Pontchartrain w czasie przyjęcia (w 1698 r.), na którym między innymi gościła również barona de Breteuil. Dyskusja z nim tak ją zdenerwowała, że przerwała potok jego wymowy, mówiąc, że na pewno pomimo całej swojej mądrości, nie wie kto był autorem Pater Noster. Breteuil oburzył się; nie uważa za stosowne odpowiadać na takie dziecinne pytanie. Zmienił co prędzej temat rozmowy i wycofał się do innego salonu.

Jeden z obecnych podążył za nim i w przejściu szepnął mu, że autorem Pater Noster był Mojżesz. Baron zadowolony wrócił do pani domu, nawiązał do przerwanej dyskusji i robiąc ministrowej wyrzuty, że mogła wątpić w jego wiadomości z dziedziny tak elementarnej, oświadczył z triumfem, że przecież wszyscy, nawet małe dzieci wiedzą, że autorem Pater Noster jest Mojżesz.

Stanowczo lektura coraz bardziej zaczyna mego czytelnika interesować. Fakt, że Anglicy zawdzięczają melodię swego hymnu narodowego „God save the king" chorobie żołądkowej Ludwika XIV, wywołuje u niego uśmiech prawdziwego rozbawienia.

Król-Słońce odznaczał się wspaniałym, iście królewskim apetytem i to stało się powodem poważnej i długotrwałej choroby jego królewskiego żołądka. Na szczęście lekarzom dworskim udało się wreszcie wyleczyć ich dostojnego pacjenta.

Zaraz po ozdrowieniu udał się Ludwik XIV do założonego przez panią de Maintenon, zakładu dla panien w Saint Cyr. Na powitanie monarchy odśpiewały panienki hymn, specjalnie na tę uroczystość skomponowany przez kierownika muzyki dworskiej i dyrektora opery, Lully'ego. Jakiś Anglik, bawiący przejazdem we Francji, słyszał przypadkowo ten hymn i tak mu się jego melodia podobała, że zawiózł nuty do Londynu. Okazało się, że był wyrazicielem gustów swoich rodaków: melodia podobała się niesłychanie, rozpowszechniła się bardzo szybko i stała się hymnem państwowym.

Niepozbawiony pikanterii jest fakt, że autor hymnu Lully przywędrował do Francji jako kuchcik księżny de Montpensier.

Z pełnym już zaufaniem bierze czytelnik pamiętnik z okresu Ludwika XV. Co za dziwna epoka — myśli. Nigdy chyba moralność nie upadła tak nisko, nigdy nie grzeszono tak powszechnie i tak jawnie, ale też nigdy nie robiono tego z takim wdziękiem.

Na wstępie znajduje się wraz z ambasadorem Francji księciem de Choiseul [2]) w Rzymie.

Choiseul rządził się w Rzymie, jak przysłowiowa szara gęś. Był bezsprzecznie najważniejszą, obok papieża Benedykta XIV osobistością. Nieraz zdarzało się, że w sposób stanowczy przeciwstawiał się woli papieża.

Pomimo częstych sporów, papież lubił księcia de Choiseul, miał do niego pewną słabość, a nawet jakby się go lekko obawiał.

Kiedyś wyszedłszy z gabinetu, zauważył, jak jeden z posłów zagranicznych załatwiał na korytarzu pewną małą potrzebę natury fizjologicznej. Panie — krzyknął — nie rób pan tego na korytarzu, bo jakby to Choiseul zobaczył, to zrobiłby to samo u mnie w gabinecie.

Nie było to jedyne ze słynnych powiedzeń Benedykta XIV. Raz zapytał w dniu przyjęć o osoby czekające na audiencję. Wymieniono mu kilku kardynałów, prałatów i jakiegoś obywatela Genewy. „Prosić heretyka — powiedział papież — musi on się nudzić w moim przedpokoju, podczas gdy inni uświęcają się w nim".

Zabawna przygoda wydarzyła się w rzymskich salonach księstwa de Choiseul, słynnemu matematykowi, La Condamine. Znalazł się on kiedyś w pokoju, w którym księżna, odwrócona do niego tyłem, pisała list. La Condamine odznaczający się ciekawością, przekraczającą ramy dobrego wychowania, zbliżył się na palcach, aby przeczytać co i do kogo pisała. Księżna spostrzegłszy ten manewr, tak pisała dalej: „Powiedziałabym o tym znacznie więcej, gdyby pan de La Condamine nie stał za mną i nie czytał tego co piszę". — Ależ pani — zaprotestował uczony — nic podobnego; zapewniam panią, że ja nie czytam".

Czytelnik mój słyszał oczywiście o słynnej faworycie Ludwika XV, markizie de Pompadour, ale dopiero z pamiętnika dowiedział się, że nazywała się ona po prostu Poisson (ryba) i że była córką jednego z licznych kochanków swojej matki, syndyka dzierżaw królewskich, Lenormanda de Tournehem. (Jej prawny ojciec, to znaczy mąż jej matki, był skromnym lokajem i wielkiej miary oszustem).

Wszechwładna markiza potrafiła wprzęgnąć do rydwanu swojej fortuny wszystkich. Stała się rozdawniczką łask, dóbr i urzędów. Nawet encyklopedyści zabiegali o jej łaski. Sławny Diderot u niej musiał się starać o pozwolenie wydania encyklopedii. Jeden tylko J. J. Rousseau nie tylko nie starał się o jej łaski, ale nawet nie chciał od niej nic przyjąć. Gdy za przepisywanie nut przesłała mu 100 funtów, odpowiedział jej w liście z dn. 18.8. 1762: „Pani, wierzyłem przez chwilę, że pełnomocnik Pani przez pomyłkę chciał mi wręczyć 100 funtów za kopię wartości 12 franków. On jednak wywiódł mnie z błędu; pozwoli Pani, że ze swej strony również wywiodę ją z błędu. Oszczędności moje zapewniły mi, nie dożywotnio wprawdzie, dochód w wysokości 540 funtów... Praca dostarcza mi prawie drugie tyle... Jeżeli, wbrew przewidywaniom, wiek albo ułomności uczynią siły moje niewystarczającymi, mam przyjaciela."

Po dwudziestu latach panowania markiza zmarła. Ciało jej wynoszono z Wersalu podczas ulewy. Ludwik XV, widząc to przez okno, raczył zauważyć: „Markiza będzie miała dzisiaj okropną pogodę dla swej podróży". To było wszystko, co miał do powiedzenia w chwili zgonu kobiety, która była jego najbliższą towarzyszką przez dwadzieścia lat.

Współcześni określili doskonale Ludwika XV w dowcipie, który ukazał się zaraz po jego śmierci.

Dusza króla, po opuszczeniu schorowanego i jeszcze przed zgonem rozkładającego się ciała, błądziła po przestrzeniach międzygwiezdnych, szukając drogi do nieba. W drodze spotyka najpierw patronkę Paryża, która zapytana o drogę, kazała iść w lewo, po tym patrona Francji, który poradził udać się w przeciwnym kierunku. Lecz i ta droga okazała się fałszywa. Właściwą pokazał dopiero napotkany w dalszym ciągu św. Piotr, który długo musiał przekonywać obałamuconą królewską duszę, że on, jako klucznik niebieski, najlepiej zna przecież drogę do nieba. Dowiedziawszy się kto poprzednio udzielał informacji zbłąkanej duszyczce, św. Piotr mruknął pod nosem, że Ludwik XV po śmierci, tak jak i za życia słuchał tylko głupców i kobiet lekkich obyczajów.

Dowcip jest bezsprzecznie dobry, co zresztą nie przeszkadza, że jest nieścisły. Święta Genowefa, patronka Paryża od najmłodszych lat prowadziła przykładne, świątobliwe życie, a patron Francji, św. Ludwik — był jednym z większych królów francuskich.

Z coraz większym zainteresowaniem czytelnik mój sięga po coraz nowe tomy. Uczucie przygnębienia i uśmiech politowania wzbudza w nim dziennik Ludwika XVI. Nie znajduje w nim wprawdzie anegdot, które tak go zajmowały poprzednio, lecz mimo to lektura zapisków ostatniego przedrewolucyjnego króla Francji go pasjonuje. Teraz już jasno zdaje sobie sprawę, dlaczego wypadki we Francji potoczyły się takim właśnie torem. Nie mogło być inaczej, skoro na tronie w tym najtrudniejszym okresie zasiadał człowiek, który notując wszystkie, nawet najbardziej błahe, wydarzenia swego życia, znajdował dla dni przełomowych, w których ważyły się losy jego osoby i państwa, jedno tylko określenie „nic". To „nic" znajdujemy pod datą 14 lipca 1789 r., a więc w dniu zburzenia Bastylii; „nic" w dniu 4 sierpnia 1789, gdy ogłoszona została słynna deklaracja praw człowieka; „nic" w burzliwych dniach 5 i 6 sierpnia 1789, gdy on sam i jego rodzina byli właściwie jeńcami motłochu paryskiego. Tym słowem „nic" kończy się w dniu 31 lipca 1792 r. pamiętnik króla.

Więcej słów poświęcał Ludwik XVI tylko polowaniu — jedynej rzeczy prawdziwie go interesującej. 16 maja 1770 r.. w dniu swego ślubu z najpiękniejszą księżniczką Europy [3]) pisze: „Mój ślub, apartament w Galerii, królewski festyn w sali opery". I to wszystko....

Stanowczo przyjemniej czyta się relacje ze ślubu Napoleona Bonapartego. Temu przynajmniej nie było obojętne czy miał się wogóle żenić i z kim. Ludwik XVI został naprawdę małżonkiem swej żony dopiero w długi czas po ślubie — u Napoleona akt ślubu był tylko usankcjonowaniem już nawiązanego stosunku.

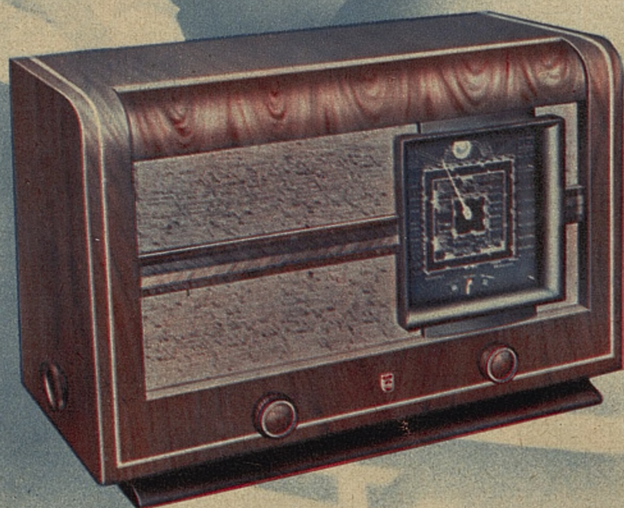
Napoleon Bonaparte nie był oczywiście od razu Napoleonem Wielkim. W chwili kiedy ukazał się w Paryżu, był młodym, skromnym generałem Bonaparte, który musiał udawać się o protekcję do dam, aby uzyskać od Dyrektoriatu materiał na mundur. W sferach towarzyskich nazywano go kotem w butach.

W salonach pani Tallien, kochanki pierwszego dyrektora Barras'a, królowej ówczesnego Paryża, poznał Bonaparte inną kochankę Barras'a, Józefinę de Beauharnais, zakochał się w niej, został jej kochankiem i po długich naleganiach otrzymał od niej zgodę na małżeństwo. Nie była to dla pięknej Józefiny partia, o którejby marzyła; biedny generalik. Ale generalik był młody, zdolny, mógł się wybić, a ona nie była już przecież pierwszej młodości, nie mogła więc zbytnio przebierać.

Ślub odbył się 9 marca 1796 r. w Paryżu. Jednym ze świadków był sam Barras. Przy spisywaniu aktu ślubu popełniono rozmyślnie pewne niedokładności: Józefina urodziła się w roku 1763, a Napoleon w r. 1769. Nie chcąc,

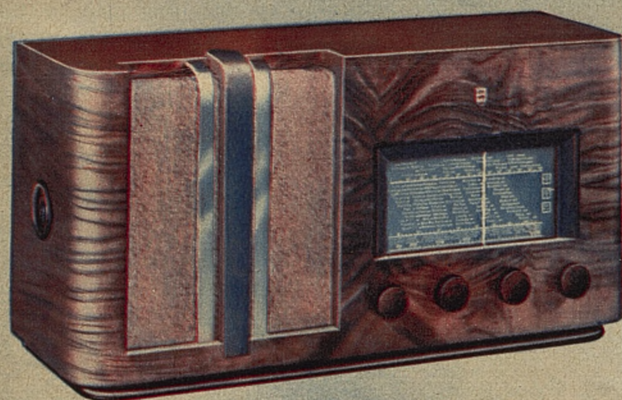
(Dokończenie na str. 15)

...a na Gwiazdkę — odbiornik PHILIPSA



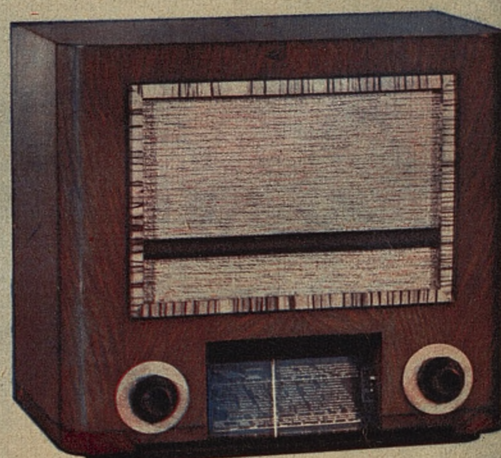
Super 6-39

Wytworny super o wytwornej skrzynce. Superheterodyna 7-mio obwodowa o pięknym tonie. Zapewnia doskonały odbiór na wszystkich zakresach fal. Również dla prądu stałego po wbudowaniu przetwórnicy.



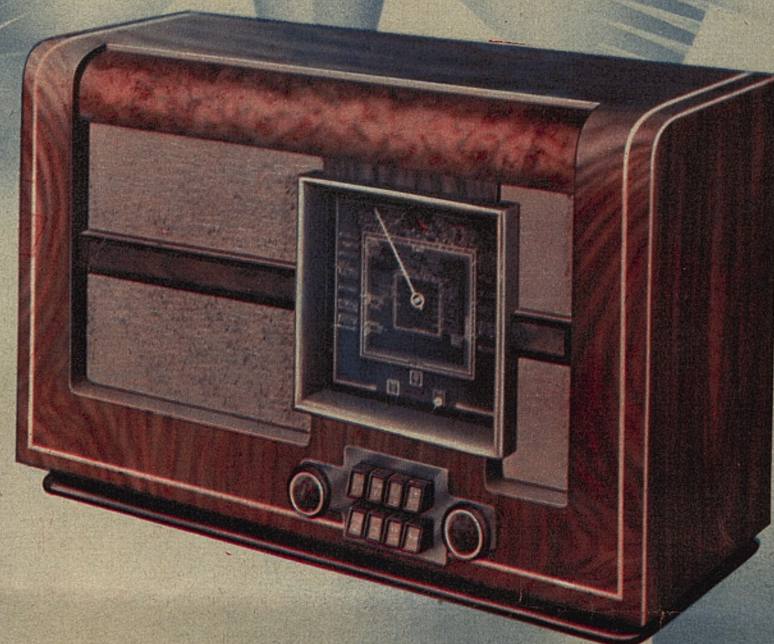
Super 4-39 B

Superheterodyna betery na. Odbiornik wysokiej klasy. 7 obdów. Niezwykła wydajność dzięki małemu zużyciu anodówki i -mulatora. Niskie koszty eksploatacji. Bardzo dogodne warunki naby.



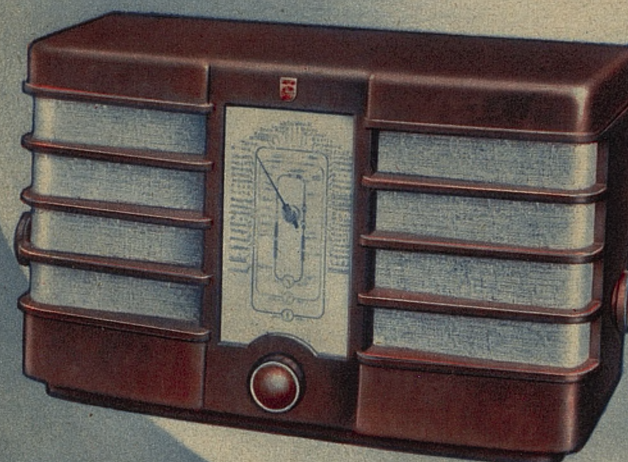
Super 697 B

Superheterodyna bateryjna dużej mocy. Silny ton i niezwykła wierność odtwarzania. 3 zakresy fal. 7 obwodów. Małe zużycie prądu. Przetwornica wibracyjna, zastępująca baterię anodową.



Super 7-39

Super z klawiaturą. Ultranowoczesna superheterodyna. Wystarczy naciśnięcie klawisza, aby stacja się odezwała. Wspaniały odbiór, zwłaszcza na krótkich falach. Również dla prądu stałego po wbudowani przetwornicy.



Super 4-39 A/U

Mały super o potężnym głosie.

Superheterodyna 7-mio obwodowa o dużej wydajności. Zapewnia doskonały odbiór. Gustowna skrzynka. Bardzo dogodne warunki nabycia. Typ A na prąd zmienny. Typ U na prąd stały i zmienny.



(Dokończenie ze str. 5)

Nieco głośniej mówiła nazajutrz, w dzień wigilijny, pani Kociakowa do męża, który napełnił sobą ogromny fotel:

— ...Wina mu nie dasz!

— Jakżeż mu mogę nie dać wina, skoro będzie stało na stole, bo ja je będę pił? — odrzekł roztropnie ten człowiek.

— Będziesz wychodził do drugiego pokoju i tam sobie wypijesz po ciemku.

— Poczuje... — mówił pan Kociak niepewnie. — Przecie to malarz. Alkohol poczuje o milę...

— Powiesz za każdym razem, że idziesz wypić lekarstwo. Wanda! Czemu płaczesz?

— A czy ja wiem? Pewnie dlatego, że wilia...

— Przestań płakać i słuchaj co ci powiem. I ojciec i ty bierzcie z półmiska rybę od środka. Takiemu, jak on, wystarczy albo głowa, albo ogon. I tak będzie to dla niego wielkie przyjęcie. A uważaj, żeby mazurka nie ukrył w kieszeni. Papierosów na stół tylko sześć! Znowu płaczesz? Aha! Gdyby długo siedział, powiedz, że ci się zrobiło słabo...

— A jeżeli mi się nie zrobi?

— Ty zawsze tak wyglądasz, jakby po ciebie miało lada chwila przyjechać Pogotowie. Chyba, żeby przyniósł z sobą obraz; wtedy niech posiedzi dłużej i niech sobie pogryzie parę orzechów. Tłuczka nie dawać! Skoro będzie musiał gryźć zębami, to mu się prędko odechce. A ty oczami do niego nie zawracaj, aby nie pomyślał, że go kto łapie, albo co? Czemu płaczesz?

— Nie wiem... Bo śnieg pada...

— I na wszystko trzeba uważać... Kiedy tu był ostatnim razem, nasypał sobie siedem łyżeczek cukru do herbaty, ale potem zginęła i łyżeczka. Ja nie mówię, żeby to zaraz on, bo byli i inni goście, ale nigdy nic nie wiadomo. Nikodemie, która godzina?

— Piąta. Albo co?

— Nic. Niedługo pewnie się zjawi. Tylko ty mi bez żadnych poufałości, bo gotów znowu przyjść jutro. I do jedzenia, swoim zwyczajem, nie namawiaj. Opłatków nie żałuj... Suszone winogrona schowałam i zjemy je wtedy, kiedy sobie pójdzie z Panem Bogiem. To nie na jego podniebienie... Wanda! Przestaniesz wreszcie płakać?

— Kiedy nie mogę. Mamusia opowiada takie śmieszne rzeczy...

— Otrzyj sobie nos! Chodźmy do salonu, bo go tam trzeba przyjąć.

W salonie umierała na suchoty palma, a fortepian na chroniczne zapalenie strun głosowych. Ogromne lustro miało kataraktę, stół ischias w dwóch nogach, a piec — astmę. Na „reprezentacyjnej" ścianie wisiał śliczny obraz, na którym łajdak lis dzierżył w pysku kaczkę; z obrazu tego wiała przeraźliwa groza i beznadziejny (szczególnie dla kaczki) smutek. Tknięty melancholią widz odwracał czemprędzej oczy, aby je ucieszyć widokiem wspaniałego „gobelinu", na którym murzyn Otello opowiada zasłuchanej Desdemonie o swoich przewagach na dalekich morzach. Murzyn miał czerwone, niezmiernie czerwone wargi, których obfitością można by obdarować kilku białych, a zachwycona córka doży z niewiadomych powodów była paskudnie zezowata; jednym zachwyconym okiem patrzyła na czarnego odmieńca, a drugim — na piec w salonie, w którym nigdy nie palono, bo w jego piekielnej czeluści pani Kociakowa ukrywała konfitury. Pod ścianą rozparła się czerwona, wyleniała kobyła kanapy, a dookoła stały źrebięta foteli. Pluszowej kobyły dosiadła pani domu i nadęła się uroczyście.

— Już powinien przyjść... — rzekła wreszcie.

Jak gdyby obdarzona była tajemną właściwością wywoływania duchów, zaczęła nasłuchiwać.

— Dzwoni! — zapłakała córeczka.— Bardzo jakoś nieśmiało...

Otwarto drzwi i stanął w nich malarz pierwszy.

— Witam cię, Kajetanie... — zaczęła szemrać pluszowa kanapa. Nagle jednakże postawiła w słup oczy, które napełniły się przerażeniem. — Kto to jest? — krzyknęła głosem zwietrzałym i jakby nadgryzionym przez mole.

— Mój przyjaciel — odrzekł malarz z wytwornym ukłonem. — Sierota... Pomyślałem sobie, że wielkie serce pani nie dopuści, aby uroczysty wieczór spędził sam, na zgliszczach i na ruinach marzeń... Pozwoliłem sobie przyprowadzić go... Ukłoń się, dobry przyjacielu.

Malarz Szczęsny wykonał polecenie z niebywałym rozmachem.

— Witam państwa! — oznajmił z odrobiną patosu.

Potem „biedny sierota" westchnął z niezwykłym przejęciem i zrobił taką minę, jakby miał za chwilę odejść z tego świata z rozpaczą i bez spisania swej ostatniej woli. Wyglądał tak jakoś rzewnie i smutno, jak pomnik na własnej mogile. Wypowiedziawszy potężne słowa powitania, zakwilił cichutko, a tak boleśnie, jak wyrzucone z gniazda pisklę, jest przeto rzeczą zrozumiałą, że panna Wanda poczęła płakać, a Desdemona przeniosła oko z pieca na ten żałobny ludzki stwór. Pani Kociakowa natomiast uderzyła w niego takim spojrzeniem, że się zachwiał.

— To niemożliwe! — krzyknęła rozdzierającym głosem. — To niemożliwe.. Nie płacz, głupia! Kajetanie... Zaprosiłam ciebie, aby przy stole było do pary... A jeśli ten pan zostanie, będzie pięcioro... Żeby kogoś z nas spotkało nieszczęście?

— Dlaczego kogoś z nas? — rzekł głucho pan Kociak. — Dlaczego nie jednego z nich?

— O, jeśli tylko o to idzie — mówił szybko Kajetan, — jeden z nas chętnie się poświęci. Mnie i tak życie zbrzydło!

— Ale mnie nie zbrzydło! — wołała dama głosem, który natychmiast okrywał się szronem. — Bardzo pana przepraszam, ale pan musi opuścić mój dom.

— W takim razie i ja go opuszczę— oznajmił Kajetan tak energicznie, że fortepiano brzękło. — A wtedy zostaną sami domowi. A to źle, to bardzo źle... O, panna Wanda płacze na samą myśl o tym... Ale ja mam doskonałą radę.

Pani Kociakowa spojrzała na niego zielonym spojrzeniem, pełnym niewiary i nieufności.

— ...My mamy jeszcze jednego przyjaciela... Sławnego poetę... Ulicę nazwą kiedyś jego mianem... Czy nie można by tak i jego?...

Duch ciemności walczył w piersiach damy. Węże błyskawic wiły się w jej zrozpaczonej głowie.

— Niech będzie! — rzekła z determinacją. — Idź po niego.

— Z największą przyjemnością. To niedaleko... Jest jednak pewna trudność...

— Co? Może nie zechce?

— Zechcieć, to on zechce, tylko... Proszę szanownego pana, czy mógłbym kilka słów na osobności?

— Czemuż to na osobności? — zapytała podejrzliwie kanapa.

— Ze względu na obecność dam...

Ująwszy pana Nikodema pod rękę, zawiódł go w stronę pieca i coś mu wymownie tłumaczył.

— ...Oczywiście nie białe, tenisowe, bo to zima... Ludzie by za nim biegali...

Pani Kociakowa zdołała usłyszeć tylko te tajemnicze słowa, po czym patrzyła z trwogą, jak jej mąż, niebotycznie zdumiony, chwiejąc się nieprzytomnie, wyszedł do cubiculum, a Kajetan poszedł za nim.

Po niejakim czasie wszedł poeta z godnością i oznajmił wspaniale:

— Pokój temu domowi! „Niech się w akantach kolumn tego domu białe wciąż gnieżdżą gołębie!". Mogę czcigodnych państwa zapewnić, że już nikt więcej nie przyjdzie...

— Mało panu? — krzyknęła pani Kociakowa.

A zaraz potem odjęło jej głos.







Istnieje pewna kategoria odsprzedawców, którzy dla zdobycia klienteli z niczym się nie liczą i nie przebierają w środkach, byleby tylko osiągnąć upragniony cel zwerbowania kupującego do sklepu. Stosowane przez nich „tricki" reklamowe żywo przypominają sposoby, jakich się chwytają przekupnie na Placu Kercelego dla zwabienia klienteli do swych straganów. Przykładów takich „tricków", opartych zazwyczaj na świadomym wprowadzaniu w błąd kupujących, możnaby przytoczyć bardzo wiele. Najwięcej ich spotkać można, przeglądając dział drobnych ogłoszeń w gazetach. Oto próbka takiego ogłoszenia:

Radio darmo!
luksusowy pierwszorzędnego
wykonania
stolik radiowy
przy kupnie odbiornika

Ogłoszenie rzeczywiście bardzo zachęcające. Ciekawi jednak jesteśmy, na czym właściwie polega „trick" tego ogłoszenia. Czy kupiec, oddając „radio za darmo", każe sobie tylko „słono" zapłacić za stolik „pierwszorzędnego wykonania"? A może ten odbiornik rzeczywiście jest nie wiele wart, jeśli służy tylko za premię przy kupnie stolika? Przy czytaniu podobnych ogłoszeń mimo woli nasuwa się pytanie: „Jak postąpi ten kupiec, jeżeli jego konkurent będzie go chciał przelicytować i doda do takiego stolika oprócz radioaparatu jeszcze... fotel i pantofle?

Albo weźmy jeszcze inne ogłoszenie tego typu:

„Bez zaliczki — 78 rat"

na radio, które kupiec wstawia do domu dla wypróbowania. Rozumiemy doskonale, że 78 rat to rzeczywiście „wabik" pierwszorzędny, ale zainteresowany niewątpliwie dowie się od sprzedawcy, że chodzi tu o raty nie miesięczne, lecz tygodniowe, co w praktyce oznacza sprzedaż na 18 rat miesięcznych. Oczywiście, że nastąpi małe rozczarowanie, gdy klient dowie się prawdy. Cel został osiągnięty, bo klient jest już w sklepie. Czy jednak klient, wprowadzony w błąd takim ogłoszeniem, nie powie parę słów prawdy kupcowi i nie nazwie rzeczy po imieniu?

Na zakończenie podamy jeszcze jedną próbkę „ogłoszenia", w którym kupiec wylicza całą litanię niezrozumiałych dla przeciętnego czytelnika właściwości technicznych odbiornika, mówiąc między innymi:

Oktoda-duodioda-trioda
dziewięciowatowa pentoda
antifading-filtr dźwiękowy etc.

Czytelnik, niewtajemniczony w arkana techniki radiowej, chwyta się za głowę. Nie może on nawet wypowiedzieć jednym tchem tylu tak „mądrze" brzmiących wyrazów, z których każdy jest dla niego tylko pustym dźwiękiem.

Przy czytaniu takich oraz wielu innych podobnych ogłoszeń, mimo woli przychodzi na myśl doskonały reportaż Wiecha z Dorocznej Wystawy Radiowej:

„Oglądaliśmy z podziwem „klasyczne luksusowe superheterodyny", „radiogramofony z wbudowanym mechanizmem", interesowaliśmy się rozwojem radiofonii od kolebki aż po dzień dzisiejszy. Mój nowy znajomy z całą powagą słuchał wykładów demonstratorów. Raz tylko, gdy przedstawiciel jakiejś firmy, prezentując zalety aparatu, powiedział:

„— Szczególnie dbale i ultraluksusowo wyposażona superheterodyna. Samoczynny antifading. Moderator krótkodystansowy. Kompensacja basów. Zawór przeciwinterferencyjny dla dziewięciu kilocykli. Uniknięcie paralaksy" — mąż Helci powiódł dookoła błędnym wzrokiem, ścisnął mnie gwałtownie za rękę i wyszeptał błagalnie: „— Wyjdźmy na chwileczkę na powietrze..."

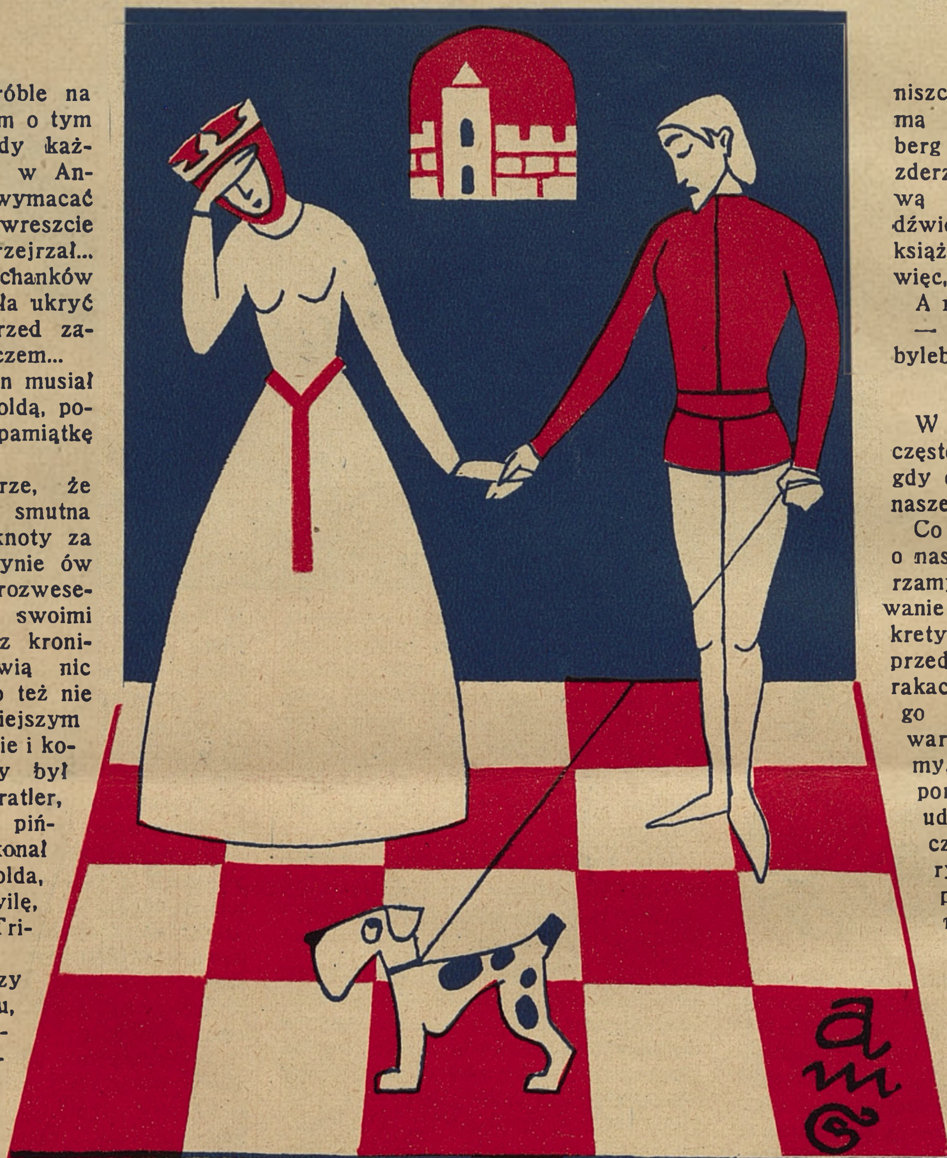
Na dłuższą metę jednak, wyżej opisane metody sprzedaży nie opłacają się, jak to wiadomo z doświadczenia. Klient, który raz się zawiódł, ostrzega swych krewnych i znajomych przed firmą, która stosuje tego rodzaju metody sprzedaży, zrażając w ten sposób do niej szereg klientów.

Będzie natomiast obdarzać zaufaniem firmy solidne, które nie chwytają się niesmacznych tricków reklamowych w celu przyciągnięcia klienta i nie obiecują w swych ogłoszeniach więcej, niż mogą dotrzymać.

Bronisław Kurzwell

Artur Marya Swinarski

Kiedy Tristan rozstawał się z Isoldą



Kiedy już wróble na dachu zamkowym o tym ćwierkały... kiedy każdy ślepy żebrak w Anglii mógł to wymacać kijem... kiedy wreszcie i król Marek przejrzał... kiedy para kochanków dłużej nie zdołała ukryć swej miłości przed zazdrosnym rogaczem...

I kiedy Tristan musiał rozstać się z Isoldą, podarował jej na pamiątkę pieska.

Piszą kronikarze, że gdy Isolda była smutna i płakała z tęsknoty za kochankiem, jedynie ów piesek potrafił rozweselić królową swoimi sztuczkami. Lecz kronikarze nie mówią nic o rasie psa. To też nie wiadomo dzisiejszym uczonym w piśmie i komentatorom, czy był to jamnik, czy ratler, czy chart, czy pińczer, który dokonał tego cudu, że Isolda, chociaż na chwilę, zapomniała o Tristanie.

Ale nam, którzy mamy po piesku, wiadomo... wiadomo... Ty, Czytelniku, który jesteś właścicielem i przyjacielem jamnika, wiesz o tym na pewno i przysiągłbyś, że piesek Isoldy był jamnikiem. A ja wiem na pewno, że ów szczeniak wyglądał akurat tak, jak go tutaj narysowałem, — bo pozował mi, aczkolwiek niechętnie, m ó j piesek. Rozumiemy się — nie prawda? Każdy właściciel psa uznaje tylko swojego i nie widzi poza nim żadnej innej rasy...

★

Czasem, kochany Czytelniku i właścicielu psa, zapominamy się i nadużywamy psiego imienia do szpetnych frazesów w rodzaju „psia krew", albo „pies z tobą tańcował", czy „pies ci mordę lizał". Lecz to są chwile słabości.

Bo na ogół mamy dla naszego psa dużo szacunku. Traktujemy go tak jak należy. Jesteśmy wobec niego wyrozumiali. Kiedy coś przeskrobie, to staramy się przemówić mu do rozumu. Nie bijemy go, broń Boże. Klapsa można dać ostatecznie dziecku. Ale do niegrzecznego pieska wygłaszamy pedagogiczną przemowę:

— Widzisz, mój kochany, gdybyś umiał czytać, gdybyś znał, już nie mówię Kanta, lecz Schopenhauera, nie uczyniłbyś tego. Pogryzłeś mi książkę. Wydanie luksusowe Homera. Nie wiem, czy pergamin jest strawą pożywną i smaczną — ale jedno jest pewne: książka, to strawa raczej d u c h o w a! A może chciałeś po prostu tylko zniszczyć to dzieło? Co masz przeciw Homerowi? Czy nie podoba ci się przekład? A może odnosisz się krytycznie do ilustracyj?... Ale nawet, gdyby tak było, to nie należy dzieła niszczyć. Wystarczy niema pogarda. Lichtenberg powiedział: „Jeżeli zderzy się książka z głową i usłyszysz pusty dźwięk, to niekoniecznie książka jest pusta". A więc, mój kochany...

A mądry piesek myśli:

— Niech sobie gada, byleby tylko nie bił!...

★

W łebku psa goszczą często myśli osobliwe, gdy dajemy mu dowody naszej miłości.

Co sobie taka istota o nas pomyśli, kiedy tarzamy się z nią po dywanie jak dziecko, albo kretyn? Kiedy chodzimy przed pieskiem na czworakach, żeby się do niego „zbliżyć"... Kiedy warczymy i szczekamy, żeby się z nim porozumieć... Kiedy udajemy kota i miauczymy, żeby go poirytować... Co sobie piesek wtedy o nas myśli? Albo kiedy mowa nasza wobec ukochanego szczeniaka nabiera owego tak dla zakochanych charakterystycznego bełkotu:

— A cyja to nóżka, cyja?... A cyj to pyscek, cyj?... A cyje to usko, cyje?...

Bo miłość zamienia człowieka w bałwana, który raptem zapomina, czyje ucho całuje...

Piesek znosi te pieszczoty pobłażliwie. Nawet udaje, że go to bawi. Nie umie mówić. Może to i lepiej. Bo gdyby umiał, gdyby przemówił w takich chwilach i powiedział, co o tym wszystkim myśli — to człowiek obraziłby się pewnie.

★

I jakie myśli miewa Cezar, albo Nero, czy Hektor, lub Diana na temat swego imienia?

Imiona własne psów, to rozdział dla siebie. Kiedyś opublikował (w nieistniejącym dziś już niestety „Przyjacie-

(Dokończenie na str. 15)



FILIŻANKA HERBATY...

Marta Rogowska

Jak często bierzemy do ręki filiżankę tego aromatycznego napoju, rozkoszując się jego przedziwnie cierpkim, a jednocześnie orzeźwiającym smakiem!



Jak trudno już byłoby nam dzisiaj obyć się bez tej filiżanki herbaty!

Zwyczaj picia herbaty pochodzi z Chin i datuje się od bardzo dawna. Stare chińskie podanie głosi, z czego wyrósł pierwszy na świecie krzew herbaciany.

W VI-tym stuleciu żył sobie pewien kapłan buddyjski, który słynął ze swej pobożności. Świątobliwy ten człowiek postanowił złożyć jako ofiarę Buddzie, niemniej ni więcej tylko swój sen. Dnie i noce spędzał na ustawicznych modłach, aż którejś nocy znużone ciało odmówiło mu posłuszeństwa i kapłan usnął. Ocknąwszy się, z przerażeniem pojął, że złamał uczyniony ślub. Aby więc na przyszłość nie ulec pokusie i nawet mimo woli nie zmrużyć oka, kapłan obciął sobie powieki i rzucił je na ziemię. Wówczas jednak Budda, w nagrodę za gorliwą pobożność swego ziemskiego sługi, uczynił cud. Z obciętych powiek kapłana wyrósł krzew, z którego liści sporządzony napój miał właściwość odpędzania snu i pobudzania zmęczonego organizmu do żywszej działalności.

Tyle legenda. Początkowo odwar z liści herbacianych był używany jedynie jako środek leczniczy, z czasem stał się ulubionym napojem Chińczyków. Przyrządzanie herbaty i sposób jej spożycia w ciągu wieków ulegały różnym zmianom. W początkowej fazie swego rozwoju herbata znana jest jako zawiesista potrawa, w niczym nie przypominająca postaci, w jakiej spożywamy herbatę obecnie.

Liście herbaty, poddane najpierw działaniu pary, rozcierano w moździerzu na jednolitą masę, którą następnie gotowano z ryżem, imbirem, skórkami pomarańczowymi, mlekiem, korzeniami, a często nawet i z cebulą.

Widocznie jednak tak przyprawiona herbata niezbyt smakowała Chińczykom, gdyż już w wieku VIII-ym do gotowania herbaty używa się jedynie soli. W każdym bądź razie robi się z niej jeszcze dawnym sposobem rodzaj ciasta, które rozciera się między dwiema kartkami delikatnego papieru. Z czasem herbatę przestaje się zupełnie gotować. Rozciera się jedynie jej listki w kamiennym moździerzu na proszek, który ubija się w wodzie pręcikiem bambusowym.

Wreszcie przechodzi herbata w ostateczną fazę swego rozwoju. Teraz sporządza się z niej przezroczysty płyn, zaparzając jej listki po prostu wrzącą wodą. W tej najszlachetniejszej formie dostaje się herbata do Europy na początku XVII-go wieku.



Pierwsi sprowadzają ją do swej ojczyzny Holendrzy, a w parę lat później herbata dostaje się i do Rosji.

Przywieźli ją w podarunku ówczesnemu carowi rosyjskiemu Michałowi, posłowie chińscy. Prezent ten w nielada kłopot wprawił zarówno cara, jak i całe jego otoczenie. Nie wiedziano bowiem, co z tym fantem począć. Dopiero ofiarodawcy musieli wtajemniczyć dwór carski w kunszt sporządzania z poskręcanych, suchych wióreczków złocistego, wonnego napoju.

Nie wiemy, jak smakowała ta pierwsza herbata carowi. Przypuszczać należy, że przypadła mu do gustu, bowiem w żadnym europejskim kraju (z wyjątkiem może Anglii) kult herbaty nie rozwinął się w tak silnym stopniu, jak właśnie w Rosji. Wiecznie szumiący samowar, wokół którego skupia się cała rodzina, nieskończona ilość szklanek herbaty (a raczej spodków), bowiem Rosjanie piją przeważnie herbatę wylaną na spodek, oparty na czubkach palców, do której przegryza się cukier kostkowy — oto tło, bez którego trudno wyobrazić sobie prawdziwego Rosjanina.

Anglicy również są amatorami dobrej herbaty. Niestety, nie mogą pić u siebie prawdziwej lądowej, (to jest wiezionej drogą lądową, a nie morską, która wpływa niekorzystnie na smak i aromat herbaty), co jest przywilejem Rosjan. W Anglii herbata odgrywa rolę łącznika towarzyskiego. Na popołudniowych przyjęciach, między lunchem a obiadem, na tak zwanych „five-oclock-tea", podaje się tradycyjnie filiżankę herbaty. Do tej popołudniowej herbaty Anglicy są bardzo przywiązani. Opowiadano, że w czasie wojny angielscy żołnierze nie chcieli iść do ataku przed godziną piątą popołudniu, to jest porą, o której dostawali herbatę. „Nie chcemy być zabici przed herbatą" — mówili.

Naturalnie najwyższym kultem otoczona jest herbata w krajach, z których pochodzi, a więc w Chinach i Japonii. O ile w Europie herbata jest napojem bardzo lubianym i cenionym, podawanym do każdego niemal posiłku, ale zawsze tylko napojem, który z łatwością może być zastąpiony przez inny, o tyle w swych krajach ojczystych uważana jest niemal za jakiś cudowny eliksir, którego spożycie połączone jest z prawdziwie chińskim ceremoniałem. Żaden Chińczyk nie wypije herbaty w pośpiechu, „na stojąco", jak my to nieraz potrafimy. Do tak ważnej czynności przystępuje on ze skupieniem, namaszczeniem niemal.

Nie mówiąc już o licznych, na każdym niemal kroku spotykanych herbaciarniach, w każdym prywatnym domu Japończyka, czy Chińczyka, znajduje się specjalny pokój do herbaty. W pokoju tym panować musi idealna czystość. Najdrobniejszy pyłek świadczyłby bowiem o tym, że gospodarz nie jest doskonałym „Mistrzem Herbaty", co dla ludzi Dalekiego Wschodu, byłoby niesłychaną ujmą. Pokój do herbaty jest czymś w rodzaju naszego salonu, przyjmuje się w nim zwykle zaproszonych gości. Siadają oni na matach, rozesłanych na podłodze i asystują przy uroczystości gotowania narodowego napoju. Rozpoczyna się ona od przyniesienia wody z górskiego źródła, albo przynajmniej z rzeki i zagotowania jej na specjalnym trójnogu. Następnie parzy się umiejętnie herbatę, dzięki czemu posiada ona jasny, słomkowy kolor i rozlewa się aromatyczny płyn do płaskich, szerokich filiżanek bez uszek, ze słynnej chińskiej porcelany. Do herbaty w ten sposób przyrządzonej nie podaje się zazwyczaj nic, nawet cukru.



Uliczna sprzedaż gorącej herbaty w Szanghaju

Natomiast inne ludy azjatyckie po dziś dzień dodają do herbaty rozmaite przyprawy. Używają one tylko herbaty cegiełkowej, wyrabianej z odpadków herbaty, kleju i krwi zwierzęcej. Cegiełkę taką, rozpuszczoną we wrzącej wodzie, zaprawiają mąką, sodą, solą, rozmaitymi tłuszczami i korzeniami. Tylko w ten sposób przyrządzona herbata wydaje się godną ich podniebienia.

My byśmy nie nazwali ich smakoszami. Ale trzeba przyznać, że Chińczyk lub Japończyk, skosztowawszy u nas herbaty, jeśli się nie skrzywi, to tylko, aby nie okazać braku dobrego wychowania. Wśród powszechnie bowiem używanych gatunków herbaty nie spotyka się w Europie tych najdelikatniejszych odmian, jakie jedynie są znane i używane w Chinach lub Japonii. Poza tym w długiej drodze morskiej herbata w znacznym stopniu traci na swej wartości, chociaż dla zabezpieczenia jej przed wilgocią wie zie się ją w skrzyniach obitych blachą ołowianą lub cynową.

Pierwszą wiadomość o herbacie w Polsce znajdujemy w kronikach z końca XVIII wieku. Zwyczaj picia herbaty, przejęty najprawdopodobniej od sąsiadującej z nami Rosji, zakorzenił się u nas na dobre i dziś nie ma bodaj w Polsce domu, w którym herbata nie byłaby najczęściej używanym napojem.

Niestety stwierdzić trzeba, że zarówno u nas, jak i w wielu krajach europejskich, z herbatą obchodzi się na ogół po barbarzyńsku. Przez nieumiejętne naparzanie, a często nawet gotowanie herbaty, pozbawiona ona zostaje niemal całkowicie swego z lekka cierpkawego smaku i subtelnego aromatu, nabierając w zamian przykrej goryczki, rozpuszczonej na skutek zbyt długiego naparzania, taniny.

A przecież dobra i umiejętnie przyrządzona herbata jest znakomitym napojem, którym rozkoszują się ludzie Wschodu, a któremu poeta chiński przypisuje czarodziejskie niemal własności, mówiąc tak o wypijanych filiżankach herbaty:

„Pierwsza zwilża wargi i gardło,
Druga odpędza samotność,
Trzecia przynosi pot pożądany,
Czwarta każe zapomnieć o wszelkim złem,
Piąta oczyszcza duszę,
Szósta, szósta zaś... jest drogą do raju".

(Dokończenie ze str. 7)

aby różnica wieku była tak wielka, Józefina ujęła sobie dwa lata, a Bonaparte, tą samą myślą wiedziony, dodał sobie dwa lata. Ponieważ jednak cofnięcie daty urodzenia Napoleona o dwa lata, z 1769 na 1767, czyniło go z urodzenia obywatelem genueńskim, a nie francuskim, gdyż Korsyka została sprzedana Francji w r. 1768, Barras, na zapytanie o miejsce urodzenia pana młodego, kazał napisać — Paryż. W ten sposób ze słynnego „korsykańczyka" zrobiono rodowitego paryżanina.

Coraz nowe i nowe postacie przesuwają się przez pożółkłe karty pamiętnika. W miarę czytania stają się coraz bliższe czytelnikowi, przestają być figurami papierowymi, nabierają życia — stają się żyjącymi ludźmi.

Mam wrażenie, że nie będzie już więcej potrzeba zachęcać mego czytelnika do studiowania pamiętników historycznych. Przekonał się już, że jest to lektura zajmująca, niekiedy aż pasjonująca. Jestem nawet pewien, że nie będzie już wyszukiwał specjalnie anegdot, w rodzaju tych, które panowie opowiadają sobie na ucho w salonie. Szukając takich anegdotek, znalazł między nimi tyle ciekawych rzeczy, wyjaśnił sobie tyle spraw, że ani się nie spostrzegł, jak zapomniał o tym, że pamiętnik miał być dla niego tylko specjalnym rodzajem pisma humorystycznego.

Kto wie, może zainteresował się do tego stopnia pamiętnikami i dziełami historycznymi, że zacznie namawiać innych, aby spróbowali tej lektury.

Oby znalazł jak najwięcej naśladowców....

1) Henrieta, córka Karola I Stuarta, (1644—1670) wychowana we Francji, żona Filipa Orleańskiego, brata Ludwika XIV.
2) Stefan Franciszek hrabia de Stainville, książę de Choiseul (1719 — 1785) ambasador w Rzymie i Wiedniu, wszechwładny minister Ludwika XV.
3) Maria Antonina, córka Marii Teresy (1755 — 1793).

(Dokończenie ze str. 12)

lu Psa") profesor uniwersytetu warszawskiego, Bystroń, katalog psich imion, w dawnej Polsce używanych— spis o kilkuset pozycjach. Obok pospolitych Burków, Azorków i Asów jest tam na przykład Lutnia i Cytra. Ciekawe... bo kiedy majstruję przy swoim skromnym odbiorniku (jeszcze nie zdobyłem się na Philipsa...) i kiedy z głośnika wychodzą trzaski i piski, wtedy mój piesek reaguje żywo— i głos jego nie przypomina głosu ani lutni, ani cytry... Jest w katalogu prof. Bystronia i Cukier i Dokuczaj i Dyszkant i Kanarek; Jasnoząb i Ostrozą; Rozetka, Sałatka, Wisła i Żakiet — a nawet Szmul, Chaja i Ryfka...

Jak się czuje pies, któremu na imię Szmul, albo suczka Ryfka — nie wiadomo...

Ale na pewno Hektor i Cezar cierpią na megalomanię! Imiona starożytnych bogiń, homeryckich bohaterów i rzymskich cesarzy, nadane psom, muszą w ich wnętrzu wywoływać osobliwe kompleksy...

(— A może dlatego, piesku, rzuciłeś się na oprawne w pergamin wydanie „Iliady", by rozszarpać wersety o Achillesie i pomścić śmierć swego imiennika Hektora?.. Oczy pieska odpowiadają: — Zgoda! Niech będzie i tak, bylebyś tylko nie bił! —)

Znaleźć dla pieska odpowiednie imię, to sztuka nielada. Oczywiście, nie można pekińczyka nazwać po prostu Smykiem, czy Burkiem. Kiedyś poznałem jamnika o kształtach bardzo aerodynamicznych; wabił się... Rolls-Roys — chociaż jego pana stać było najwyżej na Forda!

I zwykle tak bywa, że gdy na pieska wołają imieniem nader wyszukanym, to piesek jest bardziej rasowy, niż jego właściciel.

Miłość człowieka do swego psa graniczy często z sadyzmem. Wpierw piesek musi się nasłuchać głupich pytań w rodzaju „cyj to ogonek, cyj?" i „cyje to usko, cyje?" — a za chwilę człowiek z nadmiernej miłości mu ten ogonek, albo to „usko" ucina! Bo to taka moda...

Tak, tak — w łebku pieska goszczą często myśli dość osobliwe, kiedy musi się poddawać dziwacznym pieszczotom swego człowieka..

★

Francuski pisarz Paul Cazin zbył to wszystko jednym zdaniem: „Wybitna miłość do zwierząt, to tylko jedna z form nienawiści do ludzi".

Pewnie, że można i tak. Człowiek musi skierować swoje zawiedzione uczucia w stronę stworzenia milczącego i wiernego, kiedy u ludzi dozna rozczarowania. Kiedy kochanka zawiedzie. Kiedy zawiedzie przyjaciel...

★

...A kiedy Tristan powrócił —

Mimo królewskiego zakazu Tristan, od lat trawiony niewymowną tęsknotą, postanowił wrócić do Isoldy, by chociaż ujrzeć ją jeszcze raz. By kazać spragnionym oczom upoić się jej widokiem.

Zjawił się na zamku w stroju błazna. Ale ta maskarada była niepotrzebna — bo Tristan przez te lata rozłąki zmienił się nie do poznania, schudł i wynędzniał.



To też nikt go nie poznał na dworze, ani przyjaciele, ani wrogowie. Nie poznał go król Marek.

I nie poznała go królowa Isolda...

Gdy zostali sami, Tristan rzucił się ku niej:

— Isoldo miła, nie poznajesz Tristana?

— Idź, błaźnie! Czemu mnie dręczysz i plugawisz imię wspaniałego rycerza?

— Isoldo, nie pamiętasz?... — I jął przypominać jej słowa i sceny, których nikt nie słyszał i nie widział, tylko ona i on.

Ale Isolda go nie poznała... I rzekła rozgniewana:

— Jeżeli jesteś Tristanem, w e j d ź d o k l a t k i H u s d e n t a!

A Husdent, to był pies Tristana... nie ta maleńka zabawka, którą zostawił Isoldzie na pamiątkę. Było to zwierzę mocne i wielkie. Tristan nie zabrał Husdenta, gdy przed laty uciekł z dworu króla Marka. I pies niemniej cierpiał od Isoldy. Zdziczał. Nie pozwolił się zbliżyć nikomu, rozszarpał nawet kilku dozorców, którzy go karmili. Chciano zabić wściekłego psa, lecz Isolda na to nie pozwoliła. Lęk ogarniał każdego, co przechodził koło klatki Husdenta.

— Jeżeli jesteś Tristanem, wejdź do klatki Husdenta. Ale ostrzegam cię, błaźnie — bo to pewna śmierć!

Tristan objął Isoldę smutnym spojrzeniem i poszedł. Prosto do klatki. Pies poznał swego pana, zaskomlał cicho i jął mu lizać ręce.

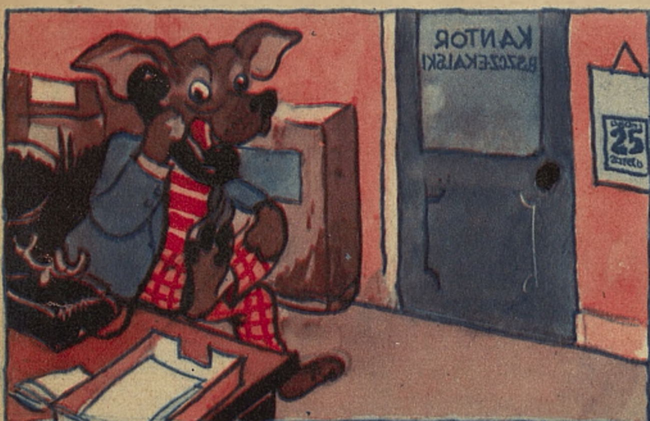
Wtedy przejrzała także Isolda. Poznała — zawołała: — Tristanie!..

Ale Tristan wypuścił psa z klatki i nie patrząc na królową, machnął ręką — a Husdent machnął ogonem.

I para przyjaciół opuściła zamek i ruszyła w świat...



Wigilijna przygoda SZCZEKALSKIEGO



Dzyń... dzyń... Szczekalski zdumiony. Któż o tej porze,
W ten wieczór wigilijny dzwonić do mnie może?
— Hrabia Kociolebski? — Szczekalski słucha pilnie.
— Chce mieć Pan Philipsa odbiornik na wigilię?
Wprawdzie dziś wielkie święto, pora późna nieco...
Ale dla Pana — zawsze! Nadal się polecam.



Wszyscy się już rozeszli. Szczekalski rad nie rad,
Wyprowadza swe auto, ładuje aparat,
Najnowszy typ Philipsa w obecnym sezonie,
Który chce sprezentować hrabia swojej żonie.
I jedzie do pałacu. Śnieg płatkami prószy...
Tajemnicza i piękna jest noc w leśnej głuszy.



Nagle z za krzaków, gdzie się czaili ukryci,
Wyskakują na drogę trzej groźni bandyci.
„Ręce do góry!" — krzyczą, z pistoletów mierzą...
Brr... Szczekalski czuje, jak włosy mu się jeżą.
Zaczyna zbójów prosić błagalnymi słowy,
By choć odbiornik jego oszczędzili nowy.



Lecz zbójów nic nie wzrusza. Szczekalski znękany,
Za chwilę do pnia sosny już jest przywiązany.
Bandyci z odbiornika cieszą się szalenie!
Zakładają antenę, robią uziemienie,
A gdy wszystko gotowe, załączają głośnik.
Szczekalskiemu omal serce nie pęknie z żałości!



Aż nagle z fal eteru, nad leśną gęstwiną,
Słodki głos wigilijnej kolędy popłynął.
Lecz cóż to? — Zbójców dziwne ogarnia wzruszenie,
Z oczu łzy im spływają... budzi się sumienie...
Nad swymi grzechami ubolewają skrycie,
I skruszeni pragną nowe rozpocząć życie.





A na początek życia swojego poprawy
Zwalniają Szczekalskiego, wśród radosnej wrzawy
Zwracają mu odbiornik, ściskają serdecznie,
Przyrzekają w pamięci zachować go wiecznie.
Tak to zbójców wyzwolił ze zła ciemnej mocy,
Przez radio Philipsa, czar wigilijnej nocy.

M. R.

Redaktor: IZABELLA GACKA Wydawca: POLSKIE ZAKŁADY PHILIPS S. A.
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Karolkowa 32/44.
Druk rotogr. DOM PRASY Warszawa, Marszałkowska 3/5/7.